

Marek Barański

WSPOMNIENIA
1943—1989

Warszawa 2020

Internowanie

12 grudnia 1981 roku rano, a była to sobota, nastawiłem radio i usłyszałem, że została odwołana wizyta w Polsce francuskiego ministra spraw zagranicznych. Od razu obudziło to mój niepokój, powiedziałem Zosi, że coś się zacznie, że komuniści uderzą. I natychmiast o tym zapomniałem. Wyruszyłem na miasto, aby załatwić jakieś sprawy. Po drodze spotkałem znajomego, który powiedział mi, że znane są już warunki stanu wyjątkowego, który chcą wprowadzić komuniści. Dodał, że odpowiednie teksty są już drukowane i w poniedziałek zostaną rozpowszechnione. Przypomniałem sobie o odwołaniu wizyty francuskiego ministra i wszystko zaczęło się układać. A więc to już. Miałem jednak swoje sprawy, pochłonięty byłem wiadomościami z odbywającego się właśnie Kongresu Kultury Polskiej.

Wieczorem poszliśmy na imieniny kuzynki Zosi, Inki Romiszowskiej. Mieszkała wtedy na Ursynowie, ze Smolnej długo się tam jechało. Gdy wyszliśmy z autobusu, zaczął padać śnieg. U Inki – wytworne przyjęcie. Na początek wino, koktajle. Potem piękne kanapki, po jakimś czasie podane zostało danie na ciepło. Na koniec kawa, herbata, słodycze. Jak zwykle. I rozmowy. Niemal wyłącznie dotyczyły one sytuacji panującej w Polsce. Spotkałem tam znajomego, z którym rzadko się widywałem. Był on, tak jak większość ludzi mieszkających w Polsce, zdecydowanym antykomunistą, jednak uważał, że komuny nie da się pokonać. Podczas poprzednich spotkań tłumaczyłem mu, że należy z komuną walczyć, nawet wówczas, gdy szanse na zwycięstwo są niewielkie. Przekonywałem

go wtedy, że tym razem to my zwyciężymy. Nie chciał w to uwierzyć. Teraz podszedł do mnie i powiedział, że miałem rację, mówił, że zwyciężymy, że komunizm już pada. Przypomniałem sobie to, co słyszałem rano, i teraz ja zacząłem przekonywać go, że chyba jednak komuniści uderzą i nas pokonają. Miałem jednak cichą nadzieję, że tak nie będzie, i bardzo prędko zapomniałem o tym, co sam mówiłem.

Wracaliśmy do domu już po północy. Autobusem jechał z nami Andrzej Bniński. Cały czas rozmawialiśmy i nie widzieliśmy niczego za oknami. Co byśmy zresztą mogli dostrzec? Wysiedliśmy na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Było późno i przeszliśmy przez jezdnię, łamiąc wszelkie przepisy. Patrzyłem tylko, czy nie ma w pobliżu jakiegoś milicjanta. Nie było. Przeszliśmy przez jezdnię, doszliśmy na Smolną, tam pożegnaliśmy się z Andrzejem i weszliśmy do domu. Nacisnąłem przycisk od windy i zobaczyłem, że z góry schodzi dwóch milicjantów. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem też dwóch: cywila i milicjanta. Od razu zrozumiałem, że to po mnie. Rzeczywiście, podszli i poprosili o dokumenty. Spojrzeli na dowód osobisty i powiedzieli: „pan pójdzie z nami, a pani – tu zwrócili się do Zosi – pójdzie do domu”.

Sądziłem, że jestem aresztowany, wydawało się to oczywiste. Powiedziałem Zosi, by poszła do domu i natychmiast zawiadomiła moich znajomych. To był najlepszy sposób na zapewnienie sobie bezpieczeństwa. Jednak Zosia już nie słyszała tego, co mówię. Nie słyszała albo nie chciała słyszeć. Zawołała, że idzie ze mną. Próbowałem jej wyjaśnić, że dla mojego bezpieczeństwa powinna natychmiast iść do domu i zawiadomić znajomych o moim aresztowaniu. Nie słuchała, poszła za mną. Wyprowadzili mnie na ulicę, a tam czekał cywilny samochód dostawczy, nyska, którą zapewne na ten wieczór milicja komuś zarekwirowała. Przez otwarte boczne drzwi wsiadłem wraz z prowadzącymi mnie funkcjonariuszami do środka. Zosia szła za nami i chciała też wejść do samochodu. Gdy zaczęła wchodzić, jeden z ubeków złapał ją za ramiona i wypchnął na śnieg. Zawołał przy tym: „za kudły i won”. Poderwałem się i ruszyłem na pomoc Zosi. W tym momencie inny ubek uderzył mnie pięścią w twarz, wołając: „dwa lata się z wami pieprzyliśmy, a teraz już mogę”. Stłukł mi okulary, niemal tego nie zauważyłem. Patrzyłem, co z Zosią. Na szczęście po wyrzuceniu z samochodu upadła na pryzmę śniegu, nikt się już nią nie przejmował.

Zosia wróciła do domu, gdzie dowiedziała się, że przyszli po mnie już kilka godzin wcześniej. Gdy okazało się, że mnie nie ma, wyszli na ulicę i tam czekali. Jednak moja żona niedługo mogła zostać w domu. Po kilku godzinach przyszli i po nią. Zawieźli ją do jakiegoś budynku i tam długo zmuszali do podpisania lojalki. Zosia nie podpisała. Nie była jednak wyznaczona do zamknięcia, więc nad ranem ją wypuszczono.

Ja tymczasem jechałem nyską. Dowieźli mnie do komendy na Wilczej, tam wyszliśmy z samochodu. Nieco się zdziwiłem, że ta cicha i spokojna ulica jest teraz mocno oświetlona i panuje na niej taki ruch. Obok komendy stało sporo samochodów, kręcili się jacyś ludzie. Wprowadzono mnie do środka. Na korytarzu było mnóstwo ludzi, bez okularów nikogo nie poznawałem. Zaprowadzono mnie na piętro, weszliśmy do pokoju. Odprowadzający mnie milicjanci pozostali na zewnątrz, zostałem z funkcjonariuszem po cywilnemu, siedzącym za stołem. Wskazał mi krzesło, usiadłem. Poprosił o dokumenty. Podałem mu dowód. Potem funkcjonariusz kazał mi oddać wszystko, co mam w kieszeniach. Byłem w odświętnym garniturze, wydawało mi się, że w kieszeniach nie ma niczego tajnego. Jednak myliłem się. W kieszeni marynarki miałem przygotowane niedawno sprawozdanie finansowe Kasy Pomocy Naukowej TKN. Tego ubecja nie powinna widzieć. Niestety, sprawozdanie było już na stole i funkcjonariusz wziął je do ręki. Spojrzał na nie i bardzo mnie zaskoczył. Zamiast zacząć przesłuchanie w tej sprawie, zwrócił mi papiery, mówiąc: „to pana”. Schowałem sprawozdanie do kieszeni, jeszcze nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co się dzieje. Tymczasem ubecji już nie interesowały takie rzeczy, zaczynał się stan wojenny. Dowiedziałem się tego, gdy powiedział: „jest pan internowany” i podał mi nakaz internowania. Zbliżyłem papier do oczu, a wtedy funkcjonariusz zapytał: „nie wziął pan okularów?”. Odpowiedziałem, że przy zatrzymaniu zostałem pobity i stłukli mi okulary. Odpowiedział: „szkoda, posiedzi pan długo w Białoleńcu”. Nie bardzo wiedziałem, gdzie to jest, sądziłem, że ze sto kilometrów od Warszawy. Funkcjonariusz wyjaśnił, że Białoleńka to Warszawa. Przeczytałem podany mi dokument i już wiedziałem, w jakim charakterze zostałem zatrzymany. Zobaczyłem jednak w dokumencie błędy. Było tam napisane, że jestem pracownikiem Archiwum Głównego Akt Dawnych. Powiedziałem, że nie pracuję w Archiwum, tylko na Uni-

wersytecie Warszawskim. Przesłuchujący mnie funkcjonariusz odparł, że nie ma to żadnego znaczenia. Ja jednak rozumiałem, że dokument został napisany na podstawie danych sprzed roku. Stan wojenny zaczęli przygotowywać zaraz po powstaniu Solidarności i już wtedy typowali ludzi do internowania.

Na zakończenie funkcjonariusz polecił mi podpisać nakaz internowania. Podpisałem. Następnie poprosił, abym napisał jeszcze, że internowanie odbyło się zgodnie z prawem. Pamiętał o moim pobiciu i chciał zabezpieczyć instytucję, w której pracowałem. Oczywiście nie powinienem tego zrobić. Jednak byłem tak zaskoczony, że wziąłem do ręki długopis i chciałem napisać, o co prosił. Tu jednak Opatrzność nade mną czuwała, długopis się skończył. Powiedziałem, że długopis nie pisze. Funkcjonariusz nie miał innego, powiedział, że nie szkodzi. Nie zatuszowałem więc bezprawia komuny. Na tym skończyła się moja rozmowa z ubekiem. Do pokoju wszedł milicjant w mundurze, by mnie wyprowadzić. Gdy wstałem, spisujący mnie ubek powiedział jeszcze: „to pana” i podał mi zdjęcie. Była to fotografia, którą nieco wcześniej zrobił mi Andrzej Friszke¹. Fotografował on ludzi opozycji, mnie też uwzględnił. Zdjęcie dał mi w przeddzień ogłoszenia stanu wojennego. Przed wyjściem na imieniny do Inki położyłem fotografię na stole w pokoju. Gdy podczas naszej nieobecności do domu przyszli ubecy, mający mnie internować, zobaczyli na stole moje zdjęcie. Wzięli je ze sobą i ze zdjęciem czekali na mnie na ulicy. Teraz fotografię odzyskałem.

Wyszedłem na korytarz i tam rzucił mi się na szyję Adam Michnik, wołając: „Marek!”. Zaraz potem wprowadzono go do pokoju, z którego ja wyszedłem. Zanim jednak zniknął za drzwiami, zawołał do mnie: „Marek, przyznaj, że Macierewicz to chuj”. Odpowiedziałem: „tutaj mówisz takie rzeczy?”

Gdy Michnika już nie było, zapytałem prowadzącego mnie milicjanta, gdzie jest toaleta. Nie wiedziałem, co będzie dalej, musiałem pozbyć się sprawozdania finansowego Kasy Pomocy Naukowej. Gdy wszedłem do

¹ Andrzej Friszke, ur. 1956, historyk, działacz opozycji demokratycznej. W 1980 r. w Solidarności, od 1980 r. członek KIK-u. Od 1982 r. kierował działem historycznym „Więzi”. Współpracował z naukowymi wydawnictwami emigracyjnymi. Od 1990 r. pracował w Instytucie Studiów Politycznych PAN, od 2013 członek korespondent PAN, w latach 1999–2007 w Kolegium IPN, w 2011 w Radzie IPN.

(9.01) Marek Barański w roku 1978
na fotografii Andrzeja Friszke



toalety, podarłem papiery, wrzuciłem do sedesu i spuściłem wodę. Nie wszystkie spłynęły, spuściłem wodę jeszcze raz. Teraz byłem czysty.

Sprowadzono mnie na parter. Tam stało już wielu moich znajomych. Powitał mnie Janek Lityński, pytając, czy mam papierosy. Nie miałem, więc dał mi paczkę sportów. Staliśmy w kółku i rozmawialiśmy. Było nas wielu, więc nastrój był nie najgorszy. Na korytarzu czekaliśmy na transport do więzienia. Czas uatrakcyjniła nam prostytutka, którą wprowadził do komendy taksówkarz. Kłócili się o pieniądze, jednak milicja miała ich w nosie. Choć głośno krzyczeli, wyrzucono ich za drzwi.

Co jakiś czas milicjanci brali kilku spośród czekających i wyprowadzali za otwierane przed nimi drzwi. Wydawało mi się, że za drzwiami znajduje się duża, choć słabo oświetlona sala. Nie miałem okularów, nie widziałem dokładnie. Tymczasem nie była to sala, tylko podwórze komendy, skąd odjeżdżały więźniarki z zatrzymanymi. W końcu i na mnie przyszła kolej.

Wraz z kolejną grupą wyprowadzono mnie na dziedziniec, tam już czekała więźniarka. Weszliśmy do środka. Więźniarką była ciężarówka

z budą z tyłu. Do budy wchodziło się bocznymi drzwiami, potem należało przejść pomieszczenie dla strażników i w końcu wejść do wnętrza. Wnętrze samochodu było przedzielone wzdłuż przegrodą. Po obu jej stronach znajdowały się pomieszczenia bez okien dla przewożonych. Przy ścianach każdej z tych cel stały ławki, po wejściu wszystkich zamknięto na klucz drzwi obu cel, a potem drzwi przestrzeni przy szoferce, w której siedli strażnicy. Ruszyliśmy. Zaczęły się żarty. Wołaliśmy: „wiozą nas na wschód, Syberia!”. W pewnym momencie rozległ się znajomy głos z radia. Któryś z nas miał odbiornik i zaczął go słuchać. Znajomym głosem był głos Jaruzelskiego. Było to przemówienie rozpoczynające stan wojenny. Wysłuchaliśmy przemówienia rosyjskiego namiestnika, a gdy oznajmił, że powstaje Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, wielu spośród nas, nie porozumiewając się między sobą, zawołało jednocześnie: „WRONa!”. Nam skojarzyło się natychmiast, komuniści tego skojarzenia nie mieli.

Samochód stanął. Nie wiedząc, gdzie jesteśmy, czekaliśmy dłuższą chwilę na to, co będzie dalej. W końcu otworzyły się drzwi i milicjant powiedział, że jeśli ktoś chce się wysuszać, to może wyjść. Wyszedłem i wraz z innymi obsiusialiśmy wysoki mur. Był to mur więzienia w Białogłocie, ponad murem widać było więzienne bloki. Było ciemno, nie miałem okularów, nie widziałem w oknach blend ani krat. Spojrzałem na rząd budynków i pomyślałem, że wyglądają jak typowe osiedle warszawskie.

Po chwili wsiedliśmy do więźniarki i przez bramę wjechaliśmy na teren więzienia. Po wyjściu z samochodu wprowadzono nas do celi przejściowej. Niewielkie pomieszczenie, ściany malowane na biało i żadnych sprzętów. Zrobiło się ciasno. Natychmiast odkryliśmy na ścianach podpisy naszych poprzedników. Znalazłem nazwisko Tomka Umińskiego, sam też się podpisałem.

Po jakimś czasie zaprowadzono nas do dużej, słabo oświetlonej sali, a może na podwórze, nie wiem, gdzie to było. Stał tam stolik, przy nim siedziało kilku pracowników więzienia, którzy spisywali nazwiska internowanych. Ich uniformy przypominały mundury lotników, byli to jednak funkcjonariusze więzienni. Siedzący przy stole wyczytywali kolejne nazwiska, wyczytani podchodzili i pokazywali dokumenty lub tylko potwierdzali swoją tożsamość. Po rejestracji zaprowadzono nas

do pomieszczenia, gdzie mieliśmy oddać cenne rzeczy do depozytu. Ustawiliśmy się przed okienkami i zdawaliśmy zegarki, obrączki i inne przedmioty. Oddałem obrączkę i zegarek, a potem podpisałem protokół. Zdziwiłem się tylko, że złota obrączka została opisana jako kółko z żółtego metalu.

Wraz ze mną oddawał swoje rzeczy do depozytu Krzysztof Łazarski. Miał przy sobie pistolet. Była to broń pneumatyczna, ale bardzo podobna do prawdziwej broni. Krzyś wyjął pistolet i zanim go oddał, podniósł do góry. Kilku strażników więziennych zaczęło wołać: „odebrać broń aresztowanemu!”. Zwrócił na siebie uwagę także Michnik, który z kolei nie chciał podpisać protokołu ze spisem oddanych do depozytu rzeczy. Na pytanie, dlaczego nie chce podpisać, śmiejąc się, odpowiedział: „bo nie uznaję układów jałtańskich”.

Po tych formalnościach – zrobiło się już jasno – zaprowadzono nas do budynku więzienia. Po schodach zabezpieczonych siatką weszliśmy na piętro. Tam postawiono nas na korytarzu. Przed nami widać było szereg drzwi do cel, a w nich judasze. Jeden z internowanych wyszedł z szeregu i zajrzał przez wizjer do celi. Na to strażnik zawołał: „zaraz tam wejdziecie i zobaczycie, co tam jest!”. Wprowadzali nas grupkami do kolejnych cel. Razem ze mną wspólne pomieszczenie zajęli Bogdan Pawlak, Adam Michnik, dwaj bracia o nazwisku Rossa², a także kilku innych. W celi stały piętrowe metalowe łóżka, w kącie przy wejściu był sedes i umywalka, na wprost widać było okno. W oknie oczywiście kraty, a na zewnątrz blaszana zasłona ograniczająca widoczność. Przez okno widać było tylko skrawek nieba. Zasłaniająca okno blacha tłumiała światło, w celi, mimo że był już dzień – było dość ciemno. Ściany celi miały szary kolor, farba miejscami zaczynała schodzić. Nasze nowe mieszkanie było brudne i ponure. Znalazłem się w nim w eleganckim garniturze, bo w takim stroju mnie zamknięto. Codziennie wieczorem prałem bieleźną i białą koszulę, potem wieszałem na kaloryferze i następnego dnia mogłem włożyć czyste rzeczy. Rano wkładałem garnitur i zawiązywałem krawat. W więzieniu byłem bardzo elegancki.

² Grzegorz Rossa, ur. 1960 r., działacz opozycji demokratycznej, od 1979 r. w KPN, od września 1980 r. członek NZS, 13 grudnia 1981 r. internowany, wypuszczony w listopadzie 1982 r. Tomasz Rossa, brat Grzegorza, w 1981 r. był licealistą.

Gdy tylko się rozlokowaliśmy, przywieziono śniadanie. Należało się nam, byliśmy więźniami. Jedzenie było bardzo nędzne. Ćwiartka chleba na cały dzień, pokrajana na grube kromki, trochę obrzydliwej margaryny, która przypominała smar do smarowania maszyn, do tego zupa zwana mleczną, czyli bura woda, może trochę zmieszana z mlekiem, a w tym kilka klusek. Śniadanie przywieźli więźniowie, którzy tego dnia mieli służbę. Michnik porozumiał się z nimi natychmiast i dostał od nich trzy papierosy. W naszej celi paliliśmy tylko on i ja, więc po śniadaniu mogliśmy usiąść i zapalić. Potem poszliśmy spać.

Położyłem się na górnym łóżku, nad Bogdanem Pawlakiem. Łóżko było okropne. Zapadnięta druciana siatka, w siatce ogromna dziura. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia. Byłem zmęczony i z rozkoszą ułożyłem się do snu. Zanim zasnąłem, pomyślałem sobie, że narzeczcie będę mógł odpocząć. Po szalenie aktywnym czasie Solidarności byłem bardzo zmęczony. Uświadomiłem też sobie, że gdybym pozostał na wolności, musiałbym organizować konspirację. Organizować lub kontynuować to, co już istniało. Musiałbym, tego ode mnie wymagała polska tradycja walki o wolność. Musiałbym, choć nie jestem człowiekiem odważnym i bardzo bym się bał. Teraz, siedząc w więzieniu, nie musiałem już tego robić. Więzienie stwarzało nowe niebezpieczeństwa, ale zarazem likwidowało stare. Na razie zasnąłem.

Obudziłem się po południu, ale jeszcze przed obiadem. Wstałem i – przyznam się – zachowałem się bardzo nieładnie. Gdy Michnik spał, wypaliłem trzeciego, ostatniego papierosa. Mam więc wobec niego niespłacony i nie do spłacenia dług.

Była zima, prędko zapadł zmrok. Zapalono nam słabą żarówkę, wiszącą pod sufitem. Stopniowo wszyscy zaczęli się budzić i zaczęły się rozmowy. Próbowaliśmy też nawiązać kontakt z lokatorami innych cel, jednak się nie udawało. Nie umieliśmy jeszcze przesyłać listów do mieszkańców innych pomieszczeń. Wieczorem przyszła nędzna kolacja, po niej apel, to znaczy liczenie. Strażnicy chcieli nas zmusić do wystawienia na korytarz tak zwanych kostek, czyli równiutko ułożonych na wyniesionych z celi stołkach ubrań. Nie zgodziliśmy się, a oni nie nalegali. Staraliśmy się cały czas walczyć o status więźnia politycznego, którego nie obowiązują zasady stosowane wobec innych więźniów. Strażnicy nie bardzo wiedzieli, jak

nas traktować, więc na ogół udawało się przeforsować to, co chcieliśmy. Twardą postawą odrzuciliśmy nie tylko przymus wystawiania wieczorem „kostki”, udało się nam także, choć były opory, doprowadzić do tego, że w ciągu dnia mogliśmy leżeć na łózkach. Targi o uznanie naszych praw trwały kilka dni, ale muszę przyznać, że nie były zbyt ostre. My robiliśmy swoje, strażnicy na ogół się zgadzali. Oczywiście były to drobiazgi. Drobiazgi, ale w więzieniu ważne. Takie nasze drobne sukcesy.

Rano obudzili nas o szóstej zapaleniem światła. Zapalił je klawisz, kontakt był na zewnątrz celi, zaraz potem odbył się tak zwany apel, czyli liczenie. Potem przyszło śniadanie. Znowu ćwierć bochenka chleba pokrajanego na bardzo grube kromki, obrzydliwa margaryna i bura woda zwana tu zupą mleczną. Przynajmniej była ciepła. Do tego kawa zbożowa nalewana do naczyń znajdujących się w celi. Ledwo zjedliśmy, wszedł klawisz i powiedział: „zabierać się z rzeczami”. Rzeczy nie mieliśmy. Tylko miski, kubki więzienne i reszta jedzenia ze śniadania. Ubraliśmy się i zostaliśmy wyprowadzeni na korytarz.

Na korytarzu powitał nas szpaler milicji. W hełmach, z pałami, na plecach wisiały automaty. Milicjanci trzymali też psy na smyczach. Musieliśmy iść pomiędzy nimi. To oczywiście była manifestacja siły, o żadnej ucieczce nie było przecież mowy. Chcieli nas przestraszyć. Szpaler milicji stał na schodach, ciągnął się na dziedzińcu więzienia, aż do baraku, w którym mieliśmy zamieszkać. Wyszliśmy z budynku. Pogoda była piękna. Wcześniej spadł śnieg, teraz świeciło słońce. Choć szedłem przez więzienne podwórze, świat wydał mi się piękny. Niemal nie zwróciłem uwagi na uzbrojoną milicję.

Minęliśmy wewnętrzną bramę i znaleźliśmy się na dużym dziedzińcu otoczonym z dwóch stron barakami. Z trzeciej strony stał piętrowy budynek, a całość zamykał mur. Wprowadzono nas do baraku. Weszliśmy do przedsionka, potem przez drzwi w kracie na wąski korytarz. Po obu stronach znajdowały się drzwi do cel. Do jednej z nich zostałem wprowadzony.

Moja cela umieszczona była mniej więcej w środku baraku. Była duża, znajdowało się w niej pięć trzypiętrowych łóżek, na środku stał stół otoczony taboretami. Drzwi były ciężkie, metalowe. Od środka nie było klamki, natomiast na zewnątrz drzwi zaopatrzone były w potężny zamek. Z jednej strony drzwi stała szafka, na półkach mogliśmy

położyć użyzione nam przez reżim aluminiowe talerze, kubki i łyżki. Noży i widelców nie było. Z drugiej strony drzwi znajdował się sedes i umywalka, na wprost było okno. Oczywiście okratowane, ale tym razem bez metalowej osłony. Przez okno zobaczyłem jakiś krzew rosnący na trawniku i pomyślałem sobie, że na wiosnę będzie zielono. Na łózkach leżały stare materace z końskiego włosia. Stare, ale bardzo wygodne, teraz już takich nie ma. Na każdym łóżku jeden cienki koc i dwa prześcieradła. Kiedyś na pewno białe, teraz szare, z plamami krwi. Już spranymi, ale bardzo dobrze widocznymi. Każdy dostał też małą poduszeczkę. Moją jakiś mój poprzednik napełnił sianem, spało się na tym bardzo wygodnie.

Rozłożyliśmy się na łózkach. Ja zająłem pryczę pod oknem, na drugim poziomie. Poda mną spał Bogdan Pawlak, a nade mną Tomek Rossa. Lokatorami mojej celi byli później Piotr Skórzyński³, Adam Michnik, Grześ Rossa, Marek Miecznikowski. Był z nami kolega, którego nazwiska nie pamiętam, ale wiem, że pracował na Okęciu jako kierowca wozu strażackiego. Był też mocno już starszy pan, nie wiem, dlaczego go zamknięto. W pierwszych dniach w naszej celi siedzieli też Jacek Bocheński⁴ i Władysław Bartoszewski⁵. Bocheński miał papierosy, my

³ Piotr Skórzyński (1952–2008), publicysta, poeta, pisarz, krytyk literacki, działacz opozycji demokratycznej. W latach siedemdziesiątych XX w. pracował w Redakcji Literackiej Polskiego Radia, po sierpniu 1981 r. działacz Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”; internowany 13 grudnia 1981 r., zwolniony w maju 1982 r. Publikował w „Kulturze”, tygodniku „Ład”, kierował działem kultury „Tygodnika Solidarność”, współpracował z „Nowym Światem”, „Gazetą Polską”, „Arcanami”, „Więzią”.

⁴ Jacek Bocheński, ur. 1926, pisarz, publicysta, działacz opozycyjny. W 1976 r. był współzałożycielem wydawanego w drugim obiegu pisma literackiego „Zapis”, w latach 1978–1981 wspierał TKN. 13 grudnia 1981 r. internowany, zwolniony po tygodniu. W latach 1988–1990 członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. W latach 1997–1999 prezes Polskiego PEN Clubu

⁵ Władysław Bartoszewski (1922–2015), historyk, publicysta, działacz opozycji demokratycznej, polityk, dyplomata. Od września 1941 r. do kwietnia 1942 r. więzień obozu w Auschwitz, zwolniony dzięki interwencji PCK. Od 1942 r. żołnierz AK związany z Biurem Informacji i Propagandy, zaangażowany w pomoc Żydom w ramach Żegoty; za pomoc Żydom w 1966 r. odznaczony medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Walczył w powstaniu warszawskim, wyszedł z miasta wraz z ludnością cywilną i ponownie zaangażował się w konspirację (BiP, organizacja NIE). W 1946 r. został członkiem mikołajczykowskiego PSL. W 1946 r. aresztowany, zwolniony w 1948 r. Ponownie aresztowany w 1949 r., w 1952 r. skazany na osiem lat. Zwolniony w 1954 r. Od 1957 r. współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym”, współpracował też z Wolną Europą. W latach 1972–1983 sekretarz generalny polskiego PEN Clubu, w latach 1973–1982 i 1984–1985 wykładowca na KUL-u. Współpracował z Polskim Porozumieniem Niepodległościowym oraz z TKN, członek Solidarności. 13 grudnia 1981 r.

swoje już wypaliliśmy. Poczęstował nas. Bartoszewski natomiast, stary doświadczony więzień, rozejrzał się po celi i znalazł igłę z nitką. Bardzo się później przydała. Zorganizował też spacer. Nie wyprowadzano nas przez pierwsze dni na spacer, ale Bartoszewski polecił o określonych godzinach otwierać okno i chodzić wokół stołu. I ciągle mówił, bawiąc nas swymi opowieściami.

Niemal natychmiast po przeniesieniu zaczęliśmy nawiązywać kontakty z innymi internowanymi. Byli wśród nas doświadczeni więźniowie, którzy wiedzieli, jak się to robi. Należało zastukać w ścianę sąsiedniej celi, a następnie przygotowany wcześniej list przywiązać do sznurka, wyciągnąć rękę przez okno i rozkręcić sznurek. W pewnym momencie trzeba było sznurek uwolnić tak, aby przywiązany na końcu list poleciał w kierunku sąsiedniego okna. Sąsiedzi czekali już z wystawionym przez okno kijem od szczotki, na ten kij sznurek z przytwierdzonym na końcu listem się nawijał. W ten sposób można się było porozumiewać. Dość prędko stworzyliśmy listę zamkniętych w Białoleńcu. Siedziało mnóstwo znajomych, wśród nich Tomek Umiński, Andrzej Rosner, Krzysztof Łazarski, Kazimierz Wóycicki⁶, Andrzej Celiński i wielu innych.

W pierwszych dniach nastąpiły zmiany. Z naszej celi wywołano Bartoszewskiego i Bocheńskiego. Wrócili i powiedzieli, że gdzieś wyjeżdżają. Bartoszewski nie mógł sobie przypomnieć nazwy miejscowości, Bocheński powiedział, że to Jaworzno. Na to Bartoszewski: „Jaworzno to kopalnia!”. Wybuchliśmy śmiechem. Obaj panowie opuścili nas jeszcze przed obiadem. Bocheńskiego bardzo prędko wypuścili, Bartoszewski długo jeszcze siedział w innych miejscach internowania.

Jedni nas opuszczali, inni przybywali. Wieczorem przyprowadzono Piotra Mroczyka⁷. Pracował w telewizji i tam zorganizował Solidarność.

internowany, zwolniony w maju 1982 r. W latach 1990–1995 ambasador Polski w Austrii, w 1995 r. minister spraw zagranicznych, w latach 1997–2001 senator, a w latach 2001–2010 prezes polskiego PEN Clubu. Profesor wizytujący na kilku zagranicznych uniwersytetach. Kawaler Orderu Orła Białego.

⁶ Kazimierz Wóycicki, ur. 1949, historyk, publicysta, dziennikarz. Działacz KIK-u. W latach 1973–1983 współpracował z „Więzią” i „Głosem”. Od 13 grudnia 1981 r. do czerwca 1982 r. internowany. W latach 1986–1987 dziennikarz sekcji polskiej BBC. W latach 1996–1999 dyrektor Instytutu Polskiego w Düsseldorfie, w latach 2004–2008 dyrektor szczecińskiego oddziału IPN. Wykładowca na Uniwersytecie Szczecińskim.

⁷ Piotr Mroczyk (1947–2007), dziennikarz, działacz opozycji demokratycznej. Od 1974 r. pracownik Polskiego Radia. Od 1980 r. członek Solidarności, przewodniczący Komisji Zakła-